

Milionerzy

13 września 2019

Czy wyborcze obietnice PiS-u zmieniają Polskę w kraj mlekiem i miodem płynący?

Wszyscy chcielibyśmy być piękni, młodzi i bogaci. Bogactwo obiecuje nam PiS. Prezes Kaczyński już zapowiedział, że dzięki polityce rządu Mateusza Morawieckiego wkrótce dogonimy Niemcy. Profesor Grzegorz Kołodko w Faktach po Faktach TVN24 zaproponował politycznym populistom zupełnie nowy gatunek wyborczej kiełbasy. „Niech obiecują, że jak wygrają wybory, za rok wszyscy będziemy o rok młodszy” – powiedział Kołodko. Zaczynam w tonie nieco żartobliwym. Ale sprawa jest śmiertelnie poważna. Jesteśmy bowiem świadkami przekroczenia populistycznego rubikonu. Chcesz wygrać wybory – przelicz swój konkurenta. A po nas – choćby potop.

Milionerzy

„Nie będzie płacy minimalnej cztery tysiące złotych w 2023 roku” – zapewnił profesor Kołodko. Przynajmniej w takim rozumieniu tych pieniędzy jak dzisiaj.

Niektórym z nas jeszcze nie zatarły się w pamięci tamte ceny. Kilogram chleba – 1000 zł. Schab – po 12 tysięcy zł. Kilogram żółtego sera – 6,5 tysiąca. I płaca – nawet ta najniższa – sięgająca miliona złotych. Wszyscy byliśmy wtedy milionerami.

Gdy po zapowiedzi prezesa Kaczyńskiego radykalnej podwyżki wszystkich wynagrodzeń napisałem na Facebooku o ryzyku wzrostu inflacji – podniosły się głosy krytyki. Tak – wszystkich wynagrodzeń. Bo tylko naiwni mogą sądzić, że jeśli najsłabiej zarabiający dostaną 4000 zł, pracownicy dotychczas tyle zarabiający nie zażądają paru tysięcy złotych podwyżki. Zgadza się, że płace w Polsce są niskie. Zwłaszcza te najniższe. Ale czy należy pozwolić na niezwykle ryzykowny

eksperyment ekonomiczny, które zamierza przeprowadzić na Polkach i Polakach główny ekonomista PiS-u Jarosław Kaczyński. Eksperyment unikalny w skali światowej. Bo raczej nie zdarza się, by w kraju o stabilnym pieniądzu i umiarkowanym kilkuprocentowym wzroście gospodarczym płace w ciągu czterech lat wzrosły o kilkadziesiąt procent. A płaca minimalna nawet o 80 proc.

Spróbujmy podsumować plusy i minusy nowego pomysłu Prawa i Sprawiedliwości.

Inflacja

„Kaczyński gra na rozwój popytu wewnętrznego i za to akurat wyjątkowo mu chwała. Bo to popyt wewnętrzny jako jedyny może zmniejszyć skutki nadchodzącej recesji. Nawet jeśli wynagrodzenia w PL wzrosną o 100% to i tak będziemy konkurencyjni w stosunku do zachodu, gdzie wynagrodzenia są wyższe 4-6 razy” – napisał w swoim facebookowym komentarzu Piotr Żukowski. „Trzeba zwiększyć cyrkulację pieniądza” – dodała inna komentatorka, Jola Tutak.

Wzrostu inflacji nie obawia się również Iwo Augustyński, dr nauk ekonomicznych Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. A zarazem kandydat partii Razem w nadchodzących wyborach. Przedstawiający siebie jako jednego z niewielu polskich post-keynesistów. „W takim kraju jak Polska, na inflację nie ma wpływu ilość pieniądza” – pisze dr Augustyński na blogu. Podając jako dowód napływ olbrzymich środków unijnych do Polski, który nie doprowadził do wzrostu inflacji. Nie wiem, czy to dobry przykład, bo znaczna część pieniędzy unijnych przeznaczona została na inwestycje, nie na konsumpcję. Ale jako informatyk – nie ekonomista – nie zamierzam wchodzić w spór stricte ekonomiczny.

Ja swój inflacyjny dowód mam w koszyku w markecie. Te same zakupy, za które jeszcze nie tak dawno płaciłem 200 zł, dziś kosztują kilkadziesiąt złotych więcej. I trudno uwierzyć, że

gwałtowny wzrost cen nie ma żadnego związku z kilkudziesięcioma miliardami rocznie dodatkowych pieniędzy trafiających do konsumentów. A poza tym, jeśli nie ma związku inflacji z ilością pieniędzy na rynku, to czemu mamy sobie żałować. Podnieśmy płace minimalne nie do 4000 zł, a do 8000 zł. Przegonimy wtedy Niemcy już za cztery lata. Bo u nich minimalna płaca to „zaledwie” 1557 euro.

Bezrobocie

Ludzie lewicy nie należą do szczególnie wierzących. Szczególnie w tak zwaną „niewidzialną rękę rynku”. Ale też zalecany przez keynesistów interwencjonizm państwa musi być trzymany na smyczy odpowiedniej długości. Bo gdy miejsce ekonomistów zajmą pijarowcy od wyborczej propagandy – może być nieciekawie. Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii przyznała, że nikt z PiS-u nie konsultował z nią zamiaru radykalnej podwyżki płacy minimalnej. Sądzę że te 4000 zł nie wynika z żadnych analiz ekonomicznych. Potrzeba było tylko ładnej i równej sumki. Działającej na wyobraźnię wyborców PiS-u.

Ale ta suma działa też na wyobraźnię pracodawców. Jestem przeciwnikiem budowania przyszłości Polski na fundamencie specjalnych stref ekonomicznych. I znajdujących się tam montowni. Których zyskiem jest groszowy koszt robocizny. Ale na początku tego wieku – gdy bezrobocie sięgało 20 proc. – o takich inwestorów zabiegaliśmy. Likwidacja zakładów pracy bazujących na najgorzej opłacanych pracownikach musi się odbywać w sposób bezpieczny dla tychże pracowników. Koncerny dadzą sobie radę. Taśmy montowni mają to do siebie, że w dwa miesiące można je przenieść gdzieś indziej. Tylko czy wtedy w biedniejszych regionach Polski zamiast wizji 4000 zł, nie pojawi się wizja bezrobocia.

To ciekawe doświadczenie. Rozmawiałem ostatnio z kilkoma potencjalnymi beneficjentami zaordynowanej przez Kaczyńskiego

podwyżki płacy minimalnej. O dziwo nie strzelały korki od szampanów. Dominował strach. Bo rachunek jest prosty. Dziś na stróżówce jest nas dwóch. Za marne 2250 zł brutto. Po podwyżce PiS-u jeden dostanie niemal dwa razy tyle. Ale drugi będzie musiał szukać roboty gdzie indziej. Kto kiedyś pracował na etacie, wie, czym jest strach przed zwolnieniami.

Na szarym końcu

„W Polsce udział wynagrodzeń w PKB jest żałośnie niski” – napisał Piotr Żukowski, jeden z moich kolejnych komentatorów facebookowych. Tak – to prawda. Wraz ze Słowacją, Węgrami i Irlandią jesteśmy w ogonie Europy. Udział płac w PKB w Polsce to zaledwie 48 proc. To istotnie mniej od średniej unijnej – wynoszącej 55 proc. Powoli rośnie. W bieżącym roku ma wynieść 48,9 proc. Pytanie, czy da się ten niekorzystną sytuację zmienić jedną ustawą rządu Morawieckiego? Moim zdaniem, nie.

O udziale płac w PKB decydują dwa czynniki: ogólny poziom płac i struktura zatrudnienia. Jeśli wszyscy bylibyśmy informatykami, pewnie udział płac w PKB byłby w europejskiej szpicy (choć – po co nam tylu informatyków). Jeśli wszyscy pracowalibyśmy w montowniach – byłoby odwrotnie. Nie ma skuteczniejszej drogi do lepszych płac niż rozwój nowoczesnej i innowacyjnej gospodarki. Oferującej dobrze płatne miejsca pracy dla wykwalifikowanych pracowników.

Rezerwy w podnoszeniu ogólnego poziomu płac (w tym płacy minimalnej) z pewnością są. Należy je wykorzystywać, aby również pracownicy o niższych kwalifikacjach mogli otrzymywać wynagrodzenia pozwalające na godne życie. Ale z pewnością nie może o tym decydować przedwyborcza licytacja.

Pod stołem

Mądrością związków zawodowych w sporze z pracodawcą jest wynegocjowanie najlepszych warunków pracy. Ale jednocześnie

takich, by firma mogła normalnie i zyskownie funkcjonować. Dramatem propozycji płacowych Kaczyńskiego jest to, że nikt żadnych negocjacji z pracodawcami nie prowadził. Pomysł 4000 zł urodził się w gabinecie prezesa PiS-u na Nowogrodzkiej.

Jak zareagują przedsiębiorcy? Duzi raczej sobie poradzą. Choć pewnie nie obejdzie się bez podwyżek cen – z jednej strony. I redukcji zatrudnienia – z drugiej. Póki co mamy ogromny deficyt pracowników. Więc ci zwalniani nie powinni obawiać się masowego bezrobocia.

Nikt natomiast nie jest w stanie przewidzieć, jak zareagują na wzrost płacy minimalnej najmniejsze firmy. Być może zmieni się tylko sposób wypłat. Wiadomo, że dzisiaj w wielu branżach model jest następujący: minimalna krajowa na papierze. Plus reszta „pod stołem”. Zwiększenie płacy minimalnej zmniejszy (lub zlikwiduje) to co „pod stołem”. Podrażając oczywiście koszty pracodawcy o podatek i ZUS kwoty wypłacanej dotychczas „pod stołem”. Ale koniec końców, byłby to scenariusz pozytywny.

Gorzej, jeśli przedsiębiorcy zaczną masowo likwidować zakłady pracy. Nie będąc w stanie prowadzić dalej działalności gospodarczej przy narzuconym administracyjnie poziomie wynagrodzeń. „Zarżnięcie” drobnej przedsiębiorczości – to możliwa konsekwencja tak niespodziewanych i wysokich podwyżek płac. Mogę to opisać na własnym przykładzie. Prowadząc przed laty małą drukarnię, bazowałem na wieloletnich umowach z kontrahentami. Podejrzewam, że nie byłbym w stanie w tak szybkim tempie dostosować się do zupełnie nowych warunków ekonomicznych funkcjonowania firmy.

Kredytobiorcy

Kolejnymi, którzy mogą sobie nie poradzić – to kredytobiorcy. Jeśli skutek podwyżek płac inflacja wzrosłaby do 6-7 proc. w skali roku, to oprocentowanie kredytów złotówkowych (szczególnie hipotecznych) sięgnęłoby niemalże 10 proc. A to

oznacza, że przy kredycie mieszkaniowym rzędu 350 tys. zł, do spłaty byłoby co najmniej 30 tysięcy samych odsetek rocznie. Wraz ze spłatą kapitału, miesięczna rata przekroczyłaby 3000 zł.

Lewica mówi w swoim programie o budowie mieszkań na wynajem z pieniędzy publicznych. Ale to dopiero przyszłość. Dzisiaj rynek mieszkaniowy w znacznej mierze funkcjonuje dzięki kredytom hipotecznym. A te z kolei – dzięki niskim stopom procentowym. Dr Augustyński przekonuje, że wskutek radykalnego wzrostu płac inflacja nie wzrośnie. Ale jeśli by wzrosła – oznaczałoby to zapaść na rynku budownictwa mieszkaniowego. Plus tragiczną sytuację kredytobiorców spłacających kredyty mieszkaniowe. Ryzykujemy, że los „frankowiczów” może stać się udziałem również „złotówkowiczów”.

W telewizji

A teraz puenta. Gdyby w radiu lub telewizji zapytali mnie: co Pan sądzi o podwyżce płacy minimalnej. Co bym powiedział w dwóch zdaniach? Popieram podwyżkę płacy minimalnej do 2600 zł w roku 2020. Lewica proponowała nawet 2700 zł. A 3000 zł? 4000 zł? To wyłącznie kiełbasa wyborcza. Której celem jest wygranie wyborów. A nie polepszenie życia najmniej zarabiającym. Tyle.

Autorstwo: Wincenty Elsner

Źródło: Trybuna.info